

Wspomnienia z dzieciństwa (cz. 2)

Na wakacje wyjeżdżaliśmy do wsi Torokanie na Polesiu, do ojca mojej matki, Czesława Dąbrowskiego. Dziadek Czesław urodził się w Humaniu, uroczym miasteczku w okolicy Czerkas, z którym kojarzą się losy wielu polskich rodzin. Humañ zasłynął jako własność Stanisława Szczęsnego Potockiego, targowiczanina oraz ulubieńca Katarzyny II. Caryca pozwoliła Szczęsnemu na bardzo wiele, między innymi założył on w Humaniu śliczny park zwany Zofiówką. Przez wiele lat park stał zaniedbany, lecz dziś podobno, staraniem zarówno Ukraińców jak i Polaków, powraca do dawnej świetności. W czasach, o których mowa, miasteczko liczyło około pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców.

Czesław Dąbrowski był jednym z czterech synów Kajetana Dąbrowskiego. Ożenił się również w Humaniu, z panną Amelią z Łuszczewskich. Potem cała rodzina została wydziedziczona ze swych posiadłości, w karze za udział w Powstaniu Styczniowym. Kiedy w 1918 r. rewolucyjna zawierucha ogarnęła i Podole, okoliczne bandy – chłopskie, anarchistyczne, machnowskie – często dopuszczały

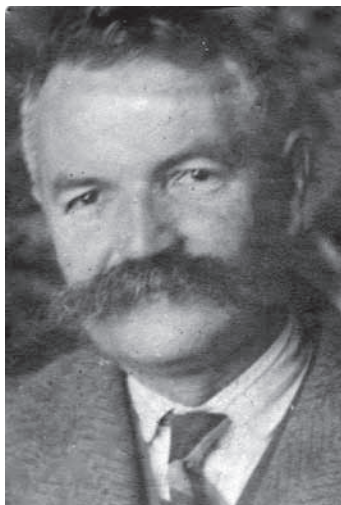
się krwawych rzezi. Pewnego razu zimą babcia Amelia wracała do domu. Graszący chłopci dorwali ją i rozebrali z futra. Panował ostry mróz, *lutyj maroz*, jak to mówią Rosjanie. Amelia złapała ostre zapalenie płuc i zmarła, osierocając ósmioletnią córkę Zofię (moją matkę) oraz znacznie od siebie młodszą siostrę Izę.

Po tym jak „wybuchła” Polska, Dąbrowscy przedostali się na Polesie. Dziadek osiadł we wsi Torokanie, w ówczesnym powiecie kobryńskim. Objął tam posadę dyrektora dużej państwowej szkoły rolniczej. Ożenił się *secundo voto* z Lucyną Terpiłowską, panną z dobrej, tradycyjnej rodziny adwokackiej z Łucka. Również u Terpiłowskich tradycje powstania 1863 r. były mocno pielęgnowane. Babcia Lucyna często pokazywała nam zdjęcia przodków-zesłańców, z któ-

rych kilku udało się powrócić. Opowieści i pamiątki rodzinne przepoiły nas – dzieci – szacunkiem dla tradycji powstańczych.

Dziadek Czesław był osobliwym człowiekiem. Niezmiernie wrażliwy, posiadał niezwykle zdolności, między innymi kregarskie – to znaczy, umiał leczyć kregosłupy. Nauczył się tego gdzieś w Petersburgu, w czasie swych studiów rolniczych. Przyjmował uczniów; odbywały się u niego rozmaite kuracje. Było coś tajemniczego wokół dziadka – w jego postępowaniu, domu, stosunku do uczniów. Zarazem był to człowiek pogodny, o dobrym charakterze.

Dziadek dysponował biurem dyrektorskim, natomiast jego pięciopokojowe mieszkanie mieściło się na górze, nad szkołą. Prowadził otwarty dom. Zjeżdżało się do niego w odwiedziny okoliczne ziemiaństwo. Wśród ludzi, którzy go odwiedzali, szczególną postacią był emerytowany generał brygady Stanisław Sołohów – a właściwie Dojno-Sołohów. Zdobył wykształcenie w najlepszych uczelniach wojskowych Rosji; był bodajże generałem w służbie carskiej. Jego żona była księginia z carskiej rodziny – niestety, w



Czesław Dąbrowski (1932)

tumulcie pierwszej wojny zaginęła bez wieści. Można jedynie domniemywać, co się z nią stało. Przepuszczalnie zabili ją, mogła paść ofiarą gwałtu. Kiedy „wybuchła” Polska, generał Sołohów oczywiście znalazł się w armii polskiej, ale szybko przeszedł na emeryturę. Mieszkał w Antopolu, typowym poleskim miasteczku oddalonym około dziesięć kilometrów od Torokań. Posiadał jedyny zdaje się murowany dom w mieście, być może nawet dwupiętrowy. W odwiedziny przyjeżdżał Sołohów pięknym powozem, ubrany w galowy mundur. Popijali z dziadkiem nalewkę. Czasem generał głaskał mnie po głowie, co dla mnie było wielkim przeżyciem. Miał fantastyczne spływające wąsy, które przypominały troszeczkę słynne wąsy Budionnego. Sołohów zawsze przyjeżdżał w towarzystwie młodego człowie-



Lucyna Terpilowska (1913)



Zofia Kurowska z synami Zbigniewem i Bohdanem (1934)

ka nazwiskiem Kaczorowski, ubranego w eleganckie sportowe ubranie.

Tu właśnie, w Torokaniach, wychowała się moja matka, Zofia Dąbrowska – choć urodziła się w Łokaczach, 29 listopada 1910 roku. Co do wykształcenia, posiadała maturę. W kwietniu 1930 roku poślubiła Witolda Kurowskiego. Przed wojną nie pracowała. Była z natury społecznicą, osobą ogromnie otwartą, oddaną dla innych. Posiadała dar zjednywania sobie ludzi. Wreszcie, była typem matki gotowej poświęcić wszystko dla ochrony czy ocalenia swych dzieci.

W Torokaniu odbywały się zjazdy rodzinne. Rodzina zasiadała wówczas pod rozłożystym kasztanem w pobliżu domu:

*

W szkole rolniczej dziadka Dąbrowskiego wszystko musiało być pokazowe – ogrody, sady, hodowle, pasieki... Jak zboże, to najlepsze, jak bydło to najlepsze, jak pszczoły... i tak dalej. Dziadek tym rządził. Szkoła była na poziomie podstawowym. Uczyła się w niej młodzież z całego Polesia. Zajęcia odbywały się w budynkach dawnego klasztoru bazylianów.

Bazylianie to klasztor unicki, czyli należący do Kościoła greko-katolickiego, dziś często nazywanego bizantyńskim kościołem ukraińskim. Unici, jak wiadomo, uznają prymat papieża, natomiast ich liturgia, stroje rytualne, etc. podobne są do rytu cerkwi prawosławnej. W carskiej Rosji unici byli prześladowani, władze

zakazały im uprawiania jakichkolwiek praktyk. Jeśli chodzi o klasztor w Torokaniach, mnisi tutejsi byli samowystarczalni, uprawiali własne ogrody. Gdy władze carskie postanowiły się ich pozbyć, przysłano oddział kozacki, żeby otoczył klasztor. Zakazano mnichom uprawiać grzędy, czy w ogóle wychodzić na zewnątrz kościoła. Zamiast tego dostarczano im minimalne dawki żywności. Zagłodzeni w ten sposób mnisi powymierali, jeden po drugim – i klasztor zlikwidowano. Okoliczni wierzyli, że duchy bazylianów wciąż jeszcze pojawiają się w niekończących się korytarzach dawnego klasztoru. Ma się rozumieć, my wszyscy słyszeliśmy ich i widzieli... To był temat nieustających rozmów, zarówno wśród dzieci, jak i dorosłych.

Niekiedy nocą po korytarzach szkoły chodził mój brat Zbyszek, w napadach lunatyzmu. Bywało, że budził się z krzykiem. On był bardzo wrażliwym dzieckiem. Kiedy jego stan bardzo się zaostrzał, owijano go w zimne, mokre prześcieradła. Wszyscy przyzwyczaili się do tego, że Zbyszek jest niezwykły, jakby nawiedzony. Mnie się takie rzeczy nie zdarzały, ja byłem spokojnym chłopcem. W to, co teraz opowiem można wierzyć lub nie, ale rzecz naprawdę miała miejsce. Otóż u popa była córka, Ewa. Ja się w niej podkochiwałem – taka miłość wieku przedszkolnego. Zbyszek wymyślił zabawę, w którą wciągnął Ewę i mnie. Był taki nieduży pokój, a w nim okrągły stolik w otoczeniu krzesel. Zbyszek powiedział: — No dobra, słuchajcie, chodźcie tutaj teraz do tego pokoiku.

Wchodzimy, on coś stawia na stoliku, na przykład wazonik.

— No, to teraz wychodzimy.

Wychodzimy, Zbyszek też. Po chwili wracamy, a wazonika już na stoliku nie ma. Ta zabawa była wielokrotnie powtarzana, w różnych miejscach, na różne sposoby. Zbyszek wówczas miał około ośmiu lat, ja niecałe siedem, więc to musiało być pod jesień trzydziestego dziewiątego roku. Nigdy mu się później te umiejętności nie powtórzyły, zresztą ich nie ćwiczył. Tego rodzaju wydarzenia miały miejsce tylko w Torokaniach.

*

Ojciec służył w trzynastym dywizjonie od roku trzydziestego piątego do trzydziestego dziewiątego. Gdy odchodził z Kamionki Strumiłowej do Bielska-Białej, otrzymał od korpusu oficerskiego komplet srebrnych kieliszków wraz z tacką, na której wygrawerowane były podpisy kolegów – dowódców, pułkowników... Ta wyjątkowa rzecz przetrwała



Zjazd rodzinny w Torokaniach (1930). Siedzą od prawej: Kazimierz (ojciec Witolda), Witold i Zofia Kurowscy, Lucyna Dąbrowska. Stoją od prawej: Czesław Dąbrowski, osoba nieznana, Stanisława oraz Maryla Kurowskie (siostry Witolda). Osoby niezidentyfikowane to pracownicy szkoły rolniczej. Jeden z mężczyzn nazywał się Antoniewicz.

w rodzinie, choć srebro jest zaśnieżone¹. Nazwiska, które widać na tacce, są mi znane. Lewandowski na przykład to zdaje się być mój chrzestny. Prawdopodobnie żaden z tych oficerów nie przeżył. Ojciec ocalał, ponieważ wyjechał do Bielska-Białej, natomiast jego koledzy, którzy pozostali na kresach, zapewne trafili do Katynia. Agenci bolszewicy prowadzili bardzo skrupulatne ewidencje oficerów służących na rubieżach przy granicy wschodniej; łącznie z polskim Korpusem Ochrony Pogranicza. Wyłapywanie tychże agentów należało do zadań KOP-u, a wiadomo, że po siedemnastym września bolszewicy bezwzględnie tępił wszelkie działania obronne Polaków. Wielu żołnierzy dostało się do niewoli i zginęło w Katyniu.

W roku 1939 wojna wisiała w powietrzu, ale nie było pewności, że wybuchnie. Ojciec wysłał nas do Torokań przebakując, że może będzie bezpieczniej dla nas wszystkich, byśmy po wakacjach tam zostali. O wojnie nie mówiło się wiele, więc nie wiadomo było właściwie, co wojskowi rzeczywiście wiedzieli, co przeczuwali. Liczyliśmy się z różnymi ewentualnościami; bądź co bądź Hitler wcześniej zaproponował sojusz Beckowi. Niektórzy optymiści mówili: „Co tam, zaraz dojdziemy do Berlina.” Katastrofa zbliżała się jednak nieubłaganie. Wkrótce otrzymaliśmy w Torokaniach wiadomość, że wojna z Niemcami rozpoczęła się. Przez długi czas nie wiedzieliśmy, co dzieje się z ojcem, w końcu przyszły wieści, że już w pierwszych dniach wojny wyszedł z koszar wraz V Armią, czyli Armią Kraków, aby uczestniczyć w obronie. Ponieważ praktycznie nie było żadnych szans, żeby wojować ze znacznie silniejszym przeciwnikiem, cała Armia szybko się poddała, a żołnierze – w tym mój ojciec – znaleźli się w niewoli niemieckiej. Jednak żyliśmy nadzieją. Gdzieś w okolicach pojawiły się oddziały polskie, niektóre z nich walczyły. Słyszeliśmy też, że nad Paryżem latają „sikorki”, czyli samoloty Sikorskiego; a także, że Sowiety ponosiły bardzo dotkliwe porażki w wojnie z Finlandią, na którą napadły. Te wieści podtrzymywały w nas nadzieję, że jednak to się wypnie, że szybko pójdzie. Siedzieliśmy więc w Torokaniach, czekając na rozwój wypadków.

IV

Jak wiadomo, 17 września 1939 roku armie bolszewickie wkroczyły do ówczesnej Polski wschodniej. Już wcześniej zorganizowane watahy działały w Białorusi i Ukrainie – zatem na Polesiu i na Podo-



Szkola rolnicza w Torokaniach (w budynkach dawnego klasztoru); z tyłu kościół unicki

lu – przygotowując grunt na nadejście Czerwonej Armii. Na Białorusi istniała *Zapadniaja Partia* – Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi; na Ukrainie Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy. To były inwigilujące oddziały bojowe międzynarodówki komunistycznej, niektóre uzbrojone. Otóż pewnego pięc-



Od lewej: Bohdan, Ewa (córka popa), Zbyszek (1935 lub 1936)

nego ranka – a lato było wówczas niesłychanie upalne – rozległo się walenie do naszych drzwi. Najprawdopodobniej był to dwudziesty szósty września – bardzo wczesny świt, ponieważ dziadek Czesław, który zawsze wstawał przed kurami, został obudzony. Przyszła do nas miejscowa wataha. Mieli na sobie czerwone opaski. Kazali wszystkim ubierać się i wychodzić przed szkołę. Mieli ze sobą kije, niektórzy gwintówki. Widać było, że w razie cze-

go gotowi byli łać. Musieliśmy ustawiać się w szeregach po obu stronach drogi, aby witać Czerwoną Armię. Oczywiście, wcześniej zbudowano łuki tryumfalne z napisami *Cześć i Chwała Niepobedimój Krasnoj Armii*.

Główną ulicą oraz bramą wiodącą do klasztoru zwykle przejeżdżali najznakomitsi goście: nuncjusz papieski, kler, okoliczne ziemiaństwo, jak na przykład ów generał Sołohów. My jako „państwo” stanęliśmy tuż przy bramie, na widoku – wraz z nauczycielami szkoły i całą lokalną inteligencją. Po drugiej stronie ulicy stanęło chłopstwo, pop z *papadią* – czyli *batuszka z matiuszką* – oraz ich dwie uroczę córeczki. Choć bazylianów zlikwidowano, we wsi pozostał kościół – cerkiew greko-katolicka, a w niej pop. Ten ostatni i *papadia* bezustannie bili ukłony: — *W imie Atca i Syna, i Duchu Swiatoho, Amin...* Wreszcie z krańców wsi dobiegły do nas hałasy. Pod łukami tryumfalnymi przejeżdżały wojskowe ciężarówki, a w nich *krasnoarmiejcy*. To byli żołnierze piechoty lub kawalerii zmotoryzowanej. Jechali na Fordach – cała Rosja sowiecka jeździła na Fordach, bo to był wyraz „wyższej mechanizacji”. Sowietzi kupili licencję Forda od Amerykanów, po czym produkowali te samochody w dwóch wersjach, większe Ziły i mniejsze Zisy, z zachowaniem kształtu Fordów. Ford to dobra maszyna, tylko że produkcję trzeba by potem utrzymać w odpowiedniej jakości, a z tym już było gorzej. Te samochody ciągle się Sowietom psuły.

Więc żołnierze jadą. Siedzą na Ziłach, na głowach mają klasyczne budionnówki – szmaciane piketki z wielką gwiazdą, która na ich łbach wygląda jak plaśnięta plama krwi. Są uzbrojeni, a kabiny ciężarówek wyposażone są w karabiny maszynowe. Słychać, jak piach drogi prze-

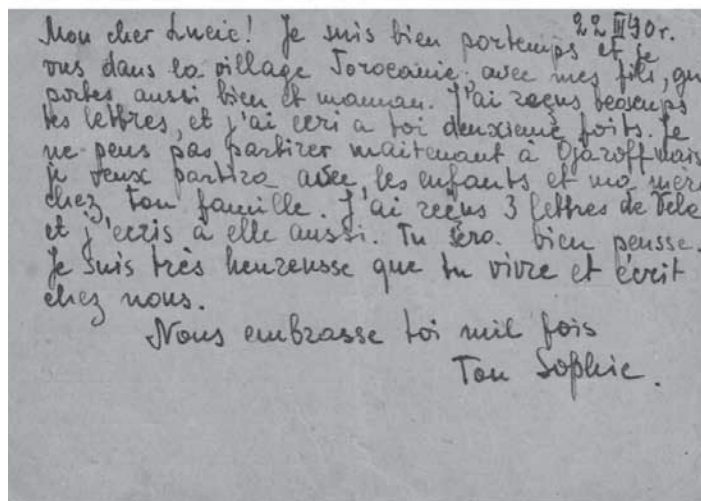
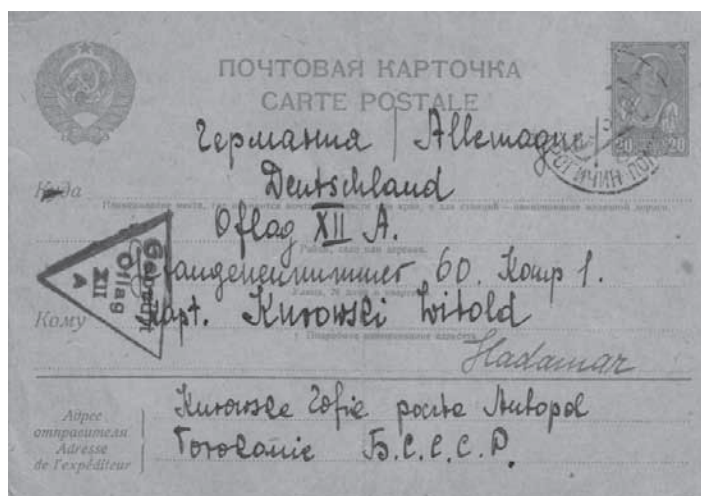
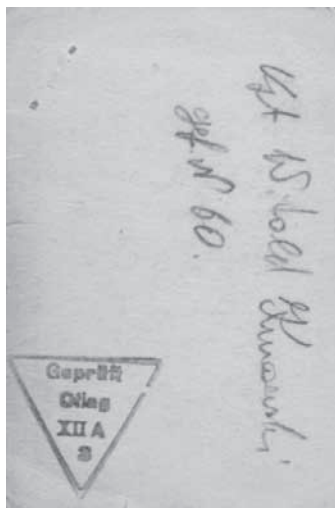
sypuje się w szprychach kół ciężarówek. Ktoś tam wznosi okrzyki, zmuszają nas do tego... Samochody bardzo wolno zbliżają się do cerkwi. W pewnym momencie żołnierz w pierwszej ciężarówce podnosi karabin, celuje w krzyż i strzela. Słychać metaliczny dźwięk. Kula trafiła w mosiężny krzyż na wieży kościoła. Był to zdumiewająco celny strzał. Chciałem w tym momencie odmówić *Ojciec Nasz*, ale nie mogłem sobie przypomnieć słów. Męczyło mnie to bardzo, że nie potrafię zmówić tej modlitwy – jakby ów żołnierz-krasnoarmiejec rozstrzelał w moją wiarę. Przez lata odgłos owego wystrzału budził mnie w nocy. Wjazd bolszewików do Torokań powracał w nocnych koszmarach.

Wkrótce potem przybyła nowa władza. Kazano nam wynosić się ze szkoły. Potraktowali nas jednak nie najgorzej. Otóż niektórzy z zamożniejszych chłopów na Polesiu co jakiś czas wyjeżdżali do Stanów Zjednoczonych, zarabiali pieniądze i po powrocie stawiali w głębi podwórza nowy dom. Drewniany, ale duży, okazały. Taki dom pozostawał niezamieszkały, był na pokaz: — O, jacy jesteśmy zamożni. O, tam mamy dom. Nas – dziadka Dąbrowskiego, babcię Lucię, mamę, brata i mnie – zlokalizowano w jednym z takich domów, należącym do bogatego Poleszuka nazwiskiem Murza. Były tam cztery pokoje, trzy z nich oddano nam do dyspozycji. Były to więc bardzo dobre warunki.

W tym czasie czyniono rozmaite wysiłki dla pozyskania inteligencji polskiej, w ogóle Polaków mieszkających na kresach wschodnich. Któryś z poetów sowieckich – czy nie Szurkowa? – napisał w *sierdczeszczypatielnym* wierszu: „*Idietie z nami, tawariszczi polskije intieligenty... No, ja znaju, szto eto bolno, kagda ubierajut spod nog ziemi, katoruju zwali radnoju. No w swietie nowoj zari, katoraja kamunizmom zawiozsa, gienij Kapiernika, gienij Curii, gienij Mickiewicza jarczie zażżotsa*” [sic].



Witold jako POW; z tyłu pieczętka Oflagu (1940)



List Zofii (wysłany z Torokań) do męża w Oflagu.

Nie pamiętam, by matka przed wojną lewicowała, wówczas jednak najprawdopodobniej straciła już nadzieję. Znalazłem w jej bibliotece powieść Wandy Wasilewskiej, co być może oznaczało, że rozważała opcję dostosowania się, wpasowania do nowopowstałych realiów. Jak zaświadcza Aleksander Wat, część liberalnej inteligencji, polskiej i żydowskiej,

otwierała się ku nowej rzeczywistości z nadzieją.

Ja bardzo wcześniej dojrzałem intelektualnie. To brzmi niewiarygodnie, ale jest absolutnie prawdziwe. W wieku pięciu lat czytałem już *W pustyni i w puszczy*. Kiedy weszli bolszewicy, miałem niecałe siedem lat. Języka rosyjskiego nauczyłem się błyskawicznie, zresztą często go słyszałem. Zarówno mama, jak i babcia Lucia świetnie znały rosyjski, nie mówiąc oczywiście o francuskim. Poza tym język [sic] poleski – który dosłownie wisiął w powietrzu, ponieważ lud dookoła posługiwał się nim – był podobny do rosyjskiego. Wreszcie, mama znała ukraiński. Takie były te kresowe klimaty. Natomiast ja wiele czytałem, na przykład wiersze owego Szurkowa czy powieść Wandy Wasilewskiej – choć z tej ostatniej niewiele rozumiałem. Nudziła mnie miejscami, ale zarazem bardzo zainteresowała.

Gdzieś pod koniec 1939 roku zgłosili się do dziadka Czesława jego dwaj byli uczniowie. Zaproponowali mu, że go wyprowadzą z sowieckiego Polesia. Zdarzały się sytuacje przeprowadzania na stronę niemiecką. Były specjalne grupy, które zajmowały się przerzutami. Również formalnie istniały takie możliwości, ale próby skorzystania z nich skończyły się fiaskiem. Którejś nocy dziadek wyruszył z tymi uczniami, po czym ślad po nim zaginął. Po wojnie jedna z instruktorek torokańskiej szkoły, która wróciła do Polski po 1956 roku, powiedziała mi, że owi uczniowie zaprowadzili go prosto do NKWD. Wywieziono go do łagru. Jeśli chodzi o owych uczniów, pewnie dostali za to jakąś premię, jakieś pogłaskanie po głowce.

Źródła: nagrania i dokumenty pozostawione przez Bohdana Kurowskiego
Spisanie oraz redakcja tekstu:
dr Joanna Kurowska